



Ewa Tomaszewska

część III z III

Sygnatura notacji: **N0560**

Data urodzenia: **14.04.1947 r.**

Data nagrania: **13.02.2024 r.**

Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 50 min, część II: 55 min, część III: 53 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Ewa Tomaszewska: Głodówka tam w kościele trwała trzy dni, ale ustaliliśmy, że głoduje każdy w miejscu, do którego w jakiś sposób tam zmierzał, czy w domu, czy gdziekolwiek kontynuuje głodówkę dokąd nie stanie się to niemożliwe zupełnie. Ja wtedy 11 dni gotowałam, ale już... 31 sierpnia brałam udział w manifestacji w Warszawie, w rocznicę podpisania Porozumień. Wtedy podczas takiego ataku ZOMO na Chmielnej upadłam i złamałam rękę. A następnego dnia rano odwiedzili mnie panowie ze Służby Bezpieczeństwa. Zrobili rewizję w domu i wyładowałam znowu na Mostowie. To na szczęście skończyło się tylko normalnym 48, także później wyszłam. A praca magazynu trwała nadal. Pani Hania wtedy jeszcze była w dobrej kondycji i zmotoryzowana, więc można było pojechać do różnych miejsc poza Warszawą, też z darami. Pracowały tam w magazynie pani Danusia Portalska, już nieżyjąca, o ile dobrze pamiętam, to chyba pani Danusia była Powstańcem Warszawskim, ale pewna nie jestem. I pani Ludwikowska, która przeszła na emeryturę zaraz jak się zaczął stan wojenny, bo stwierdziła, że na tą władzę pracować nie będzie. I bardzo, bardzo też wiele pomagała ludziom. Współpracowała z magazynem też Lucynka Dmowska, ta, u której ja się ukrywałam przez ponad miesiąc. Prawo nie tyle upamiętnienia górników z kopalni Wujek, co okazania solidarności Wybrzeża ludziom Śląska, ludziom z kopalni Wujek. To był pomysł Ani Walentynowicz i cała organizacja związana z wykonaniem dwóch tablic też była wykonana przez Anię Walentynowicz. Jedna z tych tablic miała być umieszczona w kościele w pobliżu kopalni, a druga na bramie kopalni tej, która została uszkodzona przez czołgi. W tym przedsięwzięciu brał udział Kazimierz Świtoń, który tam na Śląsku organizował tą uroczystość. Miała być rano odprawiona msza święta w kościele w niedzielę i później pochodem przeniesiona tablica pod kopalnię i tam wmurowana. Ja nie mogłam... Ania u mnie wtedy nocowała i pojechała na Śląsk. Z piątku na sobotę nocowała, a ja w sobotę musiałam być jeszcze w pracy, więc miałam dojechać w nie-

dzieli rano. I tak się stało. Po prostu dojechałam w niedzielę rano. Miała po mnie wyjść na dworzec Ela Seferowicz. No i nie wyszła. Przez jakiś czas rozglądałam się i szukałam, ale po prostu uznałam, że nie ma co czekać dłużej. Wsiadłam w taksówkę i podjechałam pod Wujka i okazało się, że manifestacja była już w końcowym stadium rozpędzania. Tablicy nie udało się przymocować, bo chyba nie za dobrze wymierzone były te otwory, żeby to zrobić szybko. W każdym razie Kazik Świtoń i Ania Walentynowicz zostali aresztowani, zostali zatrzymani wtedy. I ja zostałam też zatrzymana. Robiłam zdjęcia, to było 4 grudnia 1983 roku, na Barbórkę. Było zatrzymanych jeszcze kilku górników. I bardzo dla mnie były pouczające ich zeznania później, bo miałam możliwość zapoznania się z aktami sprawy i w aktach właśnie były również wyniki przesłuchania tych górników, których zatrzymano. To było widać jak tych ludzi przerażono. Oni tłumaczyli, że tam byli na mszy, bo zawsze chodzą do tego kościoła, ale za filarem to stał jeszcze jakiś inny... Po prostu sami szkodzili własnemu środowisku, będąc pod presją strachu, który wywoływało samo to przesłuchanie i obawa przed aresztowaniem. A myślę, że przede wszystkim to, co pamiętali z tego ataku na kopalnię Wujek. Wówczas nas zatrzymano. Najpierw na Kilińskiego, dziś tam jest IPN, a wtedy był areszt. A później przemieszczono do więzienia na Mikołowskiej. I stamtąd wywieziono i mnie, i Anię do Lublińca. A później najpierw Anię na Montelupich, na badania, bo Montelupich to jest areszt męski, ale szpital jest również kobiecy i wobec tego najpierw Anie tam na badania przewieźli. Potem ją przewieźli z powrotem do Lublińca, a mnie wywieźli na Montelupich na badania. I mogę powiedzieć, że lekarze, którzy wtedy tam pracowali byli dla nas niezwykle życzliwi. Narażali się, proponując rozwiązania dla nas najbardziej korzystne. Także po prostu nie mam słów. Nie znam ich nazwisk, ale myślę, że po prostu należy im się dobra pamięć, nie tylko moja. 7 kwietnia ja wyszłam jako ostatnia, bo Świtoń chyba w lutym wyszedł i odpowiadał z wolnej stopy. Ania wyszła 6 chyba, a ja 7, po kolei. W każdym razie jeśli chodzi o obecność Świtonia na procesie, to były to takie ciekawe momenty. Kiedy pojawił się na sali i próbował wejść, próbował usiąść na ławie oskarżonych i nie mógł się do niej dostać, bo mu milicja utrudniała to, ci milicjanci, którzy mieli pilnować każdej z nas, Anię Walentynowicz osobno i mnie osobno, czy po dwóch i Świtoń próbował wejść przez ogrodzenie tej, przez taką barierkę, na tą ławę oskarżonych się dostać i milicjant wykrzykiwał: „gdzie pan tu wchodzi, to jest ława oskarżonych”. A on na to: „no właśnie, to ja tu jestem oskarżona, nie pan”. Także po prostu widać było, że obecność na ławie oskarżonych jest zaszczytnym miejscem, o które trzeba się bić. O sprawę tej tablicy. I w moim przypadku to najpierw najpierw postanowili mnie oskarżyć o fotografowanie tej manifestacji, tych miejsc, co miało miejsce rzeczywiście, tylko że oni zapomnieli, że w międzyczasie zakończył się formalnie stan wojenny i fotografowanie nie jest już zabronione. Wobec tego nie bardzo było jak... Więc ja aktu oskarżenia bardzo długo nie dostawałam. Po jakimś czasie uznali, że po prostu im naubliżałam, używając określeń, których ja nawet w ogóle nie używam, nie znam. W każdym razie też był taki zarzut, ale nie nieformalnie, tylko przez UB-eków wyrażany, że podobno dwóch pobiłam tam. No, trochę sobie to trudno wyobrazić, widocznie więc zrezygnowali z tego. Na Śląsku była najbardziej brutalna Służba Więzienna. Po prostu traktowali to jako swoją osobistą wojnę z osadzonymi. Tak, żeby żeby poniżyć, żeby dokopać. Widać było to osobiste zaangażowanie. Niestety wręcz. Natomiast na Montelupich wręcz przeciwnie. To znaczy po prostu mają do wykonania pracę polegającą na przytrzymaniu kogoś w zamknięciu i to wykonują. I tyle. Żadnych osobistych działań agresywnych czy wrogich nie było. W każdym razie ja tego nie zaobserwowałam, bo to bywa różnie, ale ja tego nie zaobserwowałam. Tu ksiądz Jerzy napisał list do księdza biskupa Miziołka z prośbą o interwencję w mojej sprawie. I ksiądz biskup Miziołek był Przewodniczącym Komitetu Prymasowskiej Pomocy Uwięzionym i ich rodzinom. I wystąpił do Kiszczaka w mojej sprawie, zwracając też uwagę

na stan zdrowia, na tą cukrzycę, którą wyniosłam z Gołdapi. Tak że tak to wyglądało. No i niestety ksiądz biskup dostał odpowiedź od Kiszczaka taką bardzo przykrą. Po prostu wołałabym, żeby tej interwencji nie było, niż żeby ksiądz biskup musiał to czytać. Ale z procesu wyszłam. Rzekomo na leczenie, a więc na leczenie. Wtedy byłam na oddziale u dr Kuratowskiej, a później sprawa została umorzona. Także co do wszystkich. Zawieszono natomiast na sam proces, to tak jak na każdy trudno się było dostać, bo uniemożliwiono, utrudniano wejście rodzinom i bliskim. Po prostu UB-ecy wypełniali sale, żeby się nikt nie dostał. Była na procesie pani Irena Byrska, ta, która grała matkę Anny Walentynowicz w filmie „Człowiek z żelaza”. I właśnie sędzina zwróciła uwagę, żeby ustąpić miejsca starszej pani. Pani Byrska już była po 80-tce wtedy. No i na to odezwał się jeden z UB-eków, z takich byczków siedzących tam i rozpierających się: „stare kobiety to powinny siedzieć w domu, a nie włączyć się po sądach”. No także, tak się zachowywano. No cóż. U mnie na mój proces przyjechał brat z koleżanką, która aktualnie jest moją bratową. Oni byli i oni pojechali po mnie na Montelupich, żeby mnie odebrać z więzienia. Był jeszcze taki moment szczególny, kiedy spotkaliśmy się przy łóżku Piotra Bednarza, bo Piotr był w Barczewie, w ciężkich warunkach. Chyba rzucił się na nóż, czy coś takiego miało miejsce. W każdym razie to właśnie pani Urniaż-Grabowska załatwiła jego przewiezienie do Warszawy, na Banacha. I poszłam go odwiedzić 12, chyba 12 września. 1984 roku. I był u niego akurat ksiądz Jerzy i Seweryn Jaworski. Rozmawialiśmy niezbyt długo. W każdym razie tego dnia wieczorem wracałam z Włoch z bibułą, z kasetami, z nagraniami. Uciekł mi ostatni autobus i po prostu zostałam pobita w drodze do domu. Ksiądz Jerzy, kiedy dowiedział się o tym przesłał mi przez Panią Hanię Grabińską Dzieje Apostolskie z dedykacją, z napisem, że właśnie z pamięcią, w modlitwie, z życzeniami powrotu do zdrowia. Później w niedzielę byłam na Mszy Świętej w kościele seminaryjnym. Wtedy to była taka msza organizowana dla środowiska byłych internowanych i więźniów politycznych. I widziałam się z księdzem Jerzym przed mszą jeszcze w zakrystii i nawet nie wiem, czy później była jakaś okazja, żeby się zobaczyć. Nie pamiętam. Natomiast zawsze chodziłam na Msze Święte za Ojczyznę, jeżeli akurat w tym czasie nie siedziałam... W nocy z 2 na 3 listopada drukowaliśmy ulotki, tuż przed pogrzebem księdza Jerzego. Na pogrzebie już byłam, a dzisiaj taki pan Piotrowski, czy jego koledzy mogą się upominać o swoje przywileje należne im. 25 stycznia, chyba na 25 stycznia, dostałam zaproszenie na Komendę Stołeczną. I przypuszczałam, w każdym razie to było jakoś tak tuż przed rozpoczęciem pracy. 25 stycznia to było rozpoczęcie pracy. To musiało być parę dni wcześniej. W każdym razie dostałam wezwanie na komendę. I uznałam, że po prostu wiadomo, że będą próbowali jakiegoś szantażu w związku z tym. Czy będę mogła rozpocząć tam pracę, czy też nie? I poszłam sobie bez skierowania, bez wezwania. Celowo, po prostu tylko zapisałam numer sprawy, bo wiadomo było, że wezwanie jest fałszywe. Okazało się, że takiej sprawy nie mogłam znaleźć. Potem się okazało, że osoba, która prowadzi tą sprawę to jest na urlopie i że w ogóle nie ma jak ze mną rozmawiać, bo nie wiedzą kto mnie wezwał. I to sobie zachowałam to wezwanie. Teraz to jest chyba w Archiwum Akt Nowych. W każdym razie po prostu trzeba jakoś... jeżeli ktoś stosuje fałsz w takich sprawach, to po prostu trzeba tego unikać. I w ten sposób dzięki temu, że pan Świątkowski, jeden z pracowników z kierownictwa Centrum Informatycznego UW i był byłym internowanym, więc mojej koleżance, która tam pracowała, Bogusi Choińskiej, udało się namówić i żeby mnie przyjęli do pracy. I w ten sposób przeszłam ze spółdzielni pracy Skala na Uniwersytet Warszawski. Jeśli chodzi o Spółdzielnię Pracy Skala, to mogę powiedzieć, że po pierwsze to właśnie Mietek Ludwikowski, przewodniczący Solidarności w Spółdzielni Pracy Skala, pomógł mi tą pracę uzyskać. Kiedy od 9 grudnia 1982 o roku, kiedy chodziłam przedtem z wilczym biletem i nie mogłam znaleźć pracy żadnej. A prezesem... Nazwiska prezesa nie znam, ale prezesem był były żołnierz AK. Kiedy zosta-

łam aresztowana 4 grudnia 1983 roku, nie wyrzucili mnie z pracy. Kiedy się okazało, że będę dłużej niż trzy miesiące, to po prostu przez mojego adwokata dali, prosili, żebym podpisała pisemko o urlop okolicznościowy, bo jakoś nie wypada brać urlopu wypoczynkowego do więzienia. I tak się stało. Po prostu miałam urlop okolicznościowy i wróciłam do pracy, normalnie po wyjściu z więzienia i po odbyciu leczenia szpitalnego. Także tej pracy nie straciłam. Nie dość na tym. Kiedy miałam przejść na Uniwersytet, powiedzieli mi, że jeżeli się okaże, że nie mogą mnie tam przyjąć, to żebym wróciła. Nie jest prawdą, że nie można było się zachowywać inaczej. W różnych zakładach pracy zachowywano się różnie i trzeba brać pod uwagę to, że można się było zachować przyzwoicie, a nawet więcej niż przyzwoicie na tamte warunki. Zbyszek Romaszewski był członkiem Zarządu Regionu, tych w tym jego pierwszym składzie, w czasie pierwszych wyborów w 1981 roku. Prowadził Komisję Interwencji, przedtem w KOR-ze. Później Zosia Romaszewska prowadziła Komisję interwencji w Zarządzie Regionu na Mokotowskiej. No i później, kiedy udało się Zbyszkowi przekonać, że tego rodzaju struktura jest związkowi potrzebna, 10 grudnia 1986 roku została powołana Komisja Interwencji i Praworządności. I byłam jedną z osób zaproszonych do pracy w tej Komisji. Było 30 parę osób, które podawały nazwiska i adresy, telefony, tak żeby ludzie mogli się zgłaszać, bo po prostu trudno organizować jakąś pomoc dla kogoś, kto nie wie, jak do nas dotrzeć. Więc mimo że to był okres, kiedy ujawnianie nazwisk skojarzonych z działalnością podziemną nie było bezpieczne powiedzmy, ale było to konieczne. Nie było... Nie dałoby się zorganizować takiej struktury. A ludziom potrzebna była pomoc, różna. Bardzo różne były sprawy. W różnych środowiskach działy się rozmaite złe rzeczy, represje rozmaite. Była np. taka sprawa człowieka, którego wyrzucano z pracy za to, że proces miał za wypadek przy pracy, za wypadek, którego nie było. To było konieczne, mimo że wykazano sądownie, że tego wypadku nie było, to skutki rzekomo tego wypadku musiał ponieść. Także były bardzo różne sytuacje. Tu się też przydawały znajomości z Gołdapi, ale oczywiście nie wyłącznie. Po prostu trzeba było jeździć po całej Polsce i jakoś próbować docierać do różnych ludzi i unikać też właśnie kontaktów z bezpieką. A że to się może udać, to chociażby o tym świadczy to, co się zdarzyło w 1988 roku, kiedy Zbyszek Romaszewski organizował swoją pierwszą Konferencję Praw Człowieka w Mistrzejowicach. I kiedy konferencja dobiegła końca, trwały strajki w kopalniach. Wtedy, po tych strajkach jedna z koleżanek zebrała pieniądze pod kościołem świętego Stanisława Kostki na pomoc dla górników. I z tymi pieniędzmi ja pojechałam do Jastrzębia. Ze mną jechał Czesław Dygant z Solidarności, z telewizji. Chodziło o to, żeby ktoś zauważył jakby albo mnie zgarnęli, albo zabrali mi te pieniądze. Pieniądze do Jastrzębia na Górkę zawiozłam. Podobno tego dnia spisywali, kontrolowali wszystkich wchodzących na Górkę. Ani mnie, ani Czesława nikt nie zaczepił. Dotarliśmy bez żadnych problemów. Ja po prostu miałam, do tej pory mam taką ceratową siatkę, w której na dnie było ugniecione ponad pół miliona złotych. Na nich gazeta, na tym parę kartofli, jakieś warzywa. I z tą siatką po prostu jechałam tam i okazało się, że były to pierwsze pieniądze, jakie do górników tam doszły. Wtedy Pormańskich poznałam i tam kilku innych górników. Po prostu było już po strajku w Andaluzji, oni już wyszli i byli właśnie u księdza Czarnieckiego. Ksiądz też doświadczył represji np. poluzowano mu śruby przy kołach do samochodu. Gdyby nie dostrzeżono tego wcześniej, mógłby nie przeżyć jazdy późniejszej. Po prostu represje wobec księży wspierających osoby dotykane represjami były czymś na porządku dziennym i one się działy wszędzie. Na przykład wobec księdza Mariana Lipskiego, który w Głogowcu odprawiał Msze Święte za ojczyznę i też był w przyjaznych relacjach z księdzem Jerzym. Ksiądz Jerzy też tam bywał. To 7 km od Kutna, nie tak daleko. Również jego dotyczyły represje. Między innymi rozerwano mu psa. Po prostu rozerwano. Więc i na inne sobie pozwalno. Również czyny, które są nie do zaakceptowania, nie do zaakceptowania. Także była całkiem

spora grupa kapłanów. Ja już nie mówię o księdzu Suchowolcu czy księdzu Niedzielaku czy Zychu, bo tych znamy. Większość osób ich zna, ale to po prostu było powszechne. Jeśli któryś z księży w widoczny sposób wspierał, po prostu wspierał, na przykład dał jakieś pieniądze, żeby na wyżywienie dzieci ktoś miał, czy jakąś odzież z darów, czy coś po prostu, dotyczyły go też represje. Nawet mieliśmy sprawy związane z wynalazczością. Przejmowania uprawnień do wynalazków, nawet takie były. I socjalne, i takie związane z poczuciem bezpieczeństwa. Właśnie z takim jakimś złym traktowaniem rodzin osób represjonowanych. W Bełchatowie np. były to próby atakowania ludzi związanych z samorządem zakładowym. Tam był proces. Andrzejewski bronił ich wówczas. Ja jeździłam też na te procesy. W Stalowej Woli, to wiadomo, za strajk i w maju, i w sierpniu 1988 r. Stalowa Wola strajkowała, dając tylko jeden postulat – przywrócenie legalnego działania Solidarności. I tam właśnie też przywódcy strajku byli sądzeni. Tam również Andrzejewski jeździł na procesy. Te procesy były długotrwałe, bo to było więcej osób. Tam była ogromna pomoc ze strony księdza biskupa wtedy, Tokarczuka. Córka Elizy Jadczyk, po aresztowaniu jej matki, miała być poddana przesłuchaniu w szkole. Miała 15 lat chyba wtedy, ale tam kategorycznie się sprzeciwili nauczyciele i dzięki temu do tego przesłuchania nie doszło. To świadczy o tym, że było można, że nie wszędzie można, nie wszędzie trzeba się było na wszystko godzić. Tam zorganizowali znajomi pomoc dla niej i też nie doszło do żadnego zabierania do domu dziecka, bo po prostu byli ludzie, którzy postarali się pomóc w tej sprawie. Najbardziej dramatyczne to były wyjazdy do matek, tych, których zamordowano. W Kętrzynie chłopak chyba 17-letni. Ja niestety nie pamiętam już jego nazwiska, ale pewnie w aktach Komisji Interwencji to będzie. Chodzili za nim, żeby się zgodził donosić, żeby podpisał współpracę. On się nie zgodził i po krótkim czasie został wyłowiony z jeziora. W 1986 roku, 31 sierpnia na rocznicę też polowali na młodych ludzi. W Goleniowie złapali Grzesia Luksa. Pobili go w taki sposób, że po prostu zgniła w nim trzustka. Umierał przez parę miesięcy. W styczniu 1987 roku zmarł. Wyrzucano go dwukrotnie ze szpitala w Szczecinie, na polecenie Służby Bezpieczeństwa, żeby go nie leczyć, żeby nie można było nic zrobić. Na szczęście miał brata, nie był jedynakiem. Niedawno były informacje też o śmierci pani Majchrzak z Poznania, której syna w czasie manifestacji zamordowano. Jeździłam do nich w ramach pracy w Komisji Interwencji. Do mamy księdza Suchowolca. Po wydarzeniach bydgoskich w marcu 1981 r. też chodziłam do szpitala do pana Michała Bartoszcze, ojca Piotra Bartoszcze, później zamordowanego. Formalnie nie da się wyjaśnić sprawy, ale faktycznie każdy wie jak to się zdarzyło. Tu trzeba przyznać, że szczególnie trudną sytuację mieli rolnicy, bo w mieście każdy jest w jakimś dość bliskim otoczeniu innych ludzi, a na wsi gospodarstwa są rozrzucone i bardzo trudno jest albo pomóc, albo zobaczyć, co się dzieje chociażby. Właśnie okres przełomu to była śmierć księdza Niedzielaka i śmierć księdza Suchowolca. Tak, ja obserwowałam to jako takie dwutorowe dzianie się tej rzeczywistości: z jednej strony próby porozumiewania się i podpisania jakiegoś kwitu, żeby to, żeby nie ciągnąć tego stanu wojennego w nieskończoność, a z drugiej strony wręcz przeciwnie, żeby doprowadzać do sytuacji, która zaognia te relacje społeczne, tak żeby się okazało, że się nie da porozumieć po prostu. Z jednej strony była ta aktywność SB, z drugiej były próby porozumienia się. Nie z dobrej woli, tylko z przymusu ekonomicznego. Przecież temu działaniu na rzecz porozumienia towarzyszyło jednocześnie podjęcie decyzji o likwidacji Stoczni Gdańskiej. Więc po prostu... Nawet takiego minimum uczciwości w podejściu do tego problemu nie było. I dziś mamy to, co mamy. To znaczy mamy niezlustrowane społeczeństwo, czyli nie wiadomo, z kim się rozmawia. Nie zawsze wiadomo. A z drugiej strony jeśli już o samą lustrację chodzi, to przecież wiadomo też, że były takie sytuacje, kiedy człowiek podpisywał kwit i zmuszony szantażem, na przykład nie takim, że nie dostanie lepszego stanowiska pracy, tylko takim, że nie dostanie leków dla dziecka, chorego poważnie i tych

ze złamanym kręgosłupem przez takie sytuacje jest bardzo wielu. I to, jak oni to przeszli, też wpływa na kształt aktualny naszego państwa, na to, co się dzieje. Po prostu to jest niestety taki słabo dostrzegalny, ale bardzo dramatyczny skutek tamtego okresu. W latach 90-tych po prostu, znaczy lata 90-te to jest przede wszystkim moja taka bardzo intensywna działalność w Komisji Krajowej Solidarności. Najpierw w Zarządzie Regionu Mazowsze, później w Komisji Krajowej. Wszystkie negocjacje konfliktu z rządem w związku ze wzrostem kosztów utrzymania, Paktu o przedsiębiorstwie państwowym w trakcie przekształceń. I taka świadomość bardzo silna tego, że za te przemiany płacą przede wszystkim ci, dzięki którym do tych przemian doszło, czyli robotnicy z wielkich zakładów pracy. Likwidacja wielu zakładów pracy, wyrzucanie ludzi na bruk bez szans na zatrudnienie, na środki jakiegokolwiek, na utrzymanie. Także to była cena ogromna i to nie ci ją zapłacili, którzy powinni. I to jest taki mój wniosek z tamtego okresu. I w tej chwili może wrócić to, co było, czyli ta ogromna niesprawiedliwość społeczna. Jeśli chodzi o kobiety Solidarności, to przede wszystkim bardzo różne były, ale jednocześnie bardzo konkretnie podchodzące do rzeczywistości. Ta rzeczywistość wymagała ogromnej wytrwałości, poświęcenia i właśnie takiego dzielenia czasu. Odsuwanie w tył głowy, pamięci o zagrożeniach, a branie pod uwagę tego, co jest niesłychanie ważne dziś i dla przyszłości. Pamiętam jedną z koleżanek, która w 1981 r. kandydowała do Zarządu Regionu Mazowsze. Była matką w wielodzietnej rodzinie i w dodatku w okresie ciąży. Wówczas zapytano ją, jak ona sobie poradzi w ogóle w tej sytuacji? W ramach takich pytań do kandydata, jakby biorąc pod uwagę to, że może nie ma sensu, żeby kandydowała osoba, która jest tak zajęta i będzie miała innego rodzaju liczne obowiązki. I ona powiedziała wówczas, że całą noc przegadali z mężem na ten temat właśnie i uznali, że to, co robi Solidarność, to jest jedyna szansa dla ich dzieci. Jeżeli te zmiany, które dzięki Solidarności wchodzi w życie, zostaną zrealizowane i otworzą jakby dalsze możliwości na przyszłość, to to jest jedyna szansa dla ich dzieci, dla ich rodziny. I weszła do Zarządu. Nie została internowana dlatego, że po prostu była w tak zaawansowanej ciąży, że się UB-ocy przestraszyli tego, że mogą się zdarzyć sytuacje, za które będą odpowiedzialni później. Wanda wtedy jakby uprzytomniła również tym, którzy się nie zastanawiali tak bardzo nad tą sprawą, nad sprawą przyszłości, bardziej nad tym, że w tej chwili zajmą wyższą pozycję jakąś społecznie, będą się z nimi inni liczyć bardziej. A ona podeszła do tego od strony... Z jednej strony koniecznej pracy, z drugiej strony szans na przyszłość dla własnej rodziny. I myślę, że to było dość powszechne, że wiele Pań, które miały świadomość zagrożenia dla własnej rodziny, wynikającego z podejmowania działalności w podziemiu, w kolportowaniu czasopism „drugiego obiegu”, w uczestnictwie w manifestacjach, że miały świadomość konieczności wpływania na przyszłość, która będzie dotyczyć ich dzieci i ich rodzin, a nie tylko tego najbliższego okresu, który był bardzo trudny, bo tak jak mówiłam, rzadko było tak, że trzeba było wystawać w kolejkach mniej niż 3 godziny dziennie po to, żeby cokolwiek do jedzenia zdobyć. I te sprawy musiały być ważne i załatwione, i te następne, i te pisane z dużej litery też. Każda osoba jest inna i ma inne motywacje, inne zamiary i inne też postrzeganie rzeczywistości. Trzeba się z tym liczyć po prostu. Każdy ma też za sobą inną przeszłość rodzinną i myślę, że niezwykle ważne jest teraz, jeśli chodzi o młodzież, uprzytomnianie im, że historia narodu to jest historia rodzin, to jest historia rodzin. I poprzez te rodziny, poprzez to, co robił nasz dziadek, nasz wujek i nasza młodsza siostra czy starsza siostra czy ojciec. Przez to wszystko budujemy jakoś historię naszego narodu i wtedy widzi się również jak to jest ważne dla tych przyszłych celów i przyszłego statusu naszego kraju. Mając lat 9, mniej więcej tak się zastanawiałam nad tym, co było i wyobrażałam sobie, że wszystko, co było ważne, to się już zdarzyło, że właściwie to już nie ma nic do zrobienia, w niczym istotnym nie można uczestniczyć. Już wszystko było, było Powstanie Warszawskie, były inne zdarzenia z naszej historii, kiedy można

było robić coś ważnego. I potem się okazało, że tak nie jest. To, co wydaje mi się, że ważne, że należałoby przekazać młodemu pokoleniu, to to, że każde pokolenie ma jakieś swoje wyzwania i musi się do nich przygotować. I warto po prostu mieć świadomość tego, że w którymś momencie te wyzwania przed nami staną i trzeba wówczas być zdolnym do tego, żeby im sprostać. I myślę, że to mówił do nas Jan Paweł II, kiedy mówił: „Każdy ma swoje Westerplatte”, po prostu trzeba być gotowym na to, na to Westerplatte. Ja myślę, że historia mówiona jest łatwiej przyswajalna niż historia podręcznikowa. Jeżeli się czyta tak od wiersza 5 do 23, ten kawałek i trzeba się nauczyć, to po prostu nie za bardzo przemawia, bo nie widać tych realiów. Odczyta się fragment i później się zapomni. Najlepiej się zapamiętuje, jak się uczestniczy i dlatego jest tak ważne, żeby na ważne uroczystości, na ważne wydarzenia zabierać ze sobą dzieci, zabierać młodzież, żeby po prostu traktowała to jako fragment własnego życia, własnej historii. I wtedy jest szansa na to, że ta dzisiejsza rzeczywistość będzie ważnym, takim punktem odniesienia i bazą do tworzenia przyszłości.